Rok 1898. Lwów, dnia 11. lipca. Nr 27.

ECHO LITERACKIE

Dodatek tygodniowy „Dziennika Polskiego"

Redaktor: Izydor Kuncewicz.

WSPÓŁCZESNA LITERATURA RUSIŃSKA.

Szkic literacki.

Dla zrozumienia współczesnej fazy rozwoju piśmiennictwa rusińskiego, wypada nam koniecznie cofnąć się znacznie wstecz i na tle krótkiej historji tego piśmiennictwa od czasów najdawniejszych, uwydatnić przedewszystkiem ten znamienny fakt, że naród który już w wieku IX. posiadał wyrobiony ustrój państwowy a nawet dosięgnął znacznej potęgi, w tym roku obchodzi dopiero stuletnią rocznicę wydania pierwszego prawdziwie narodowego utworu literackiego. Drugim faktem, a raczej rysem, na jaki w ciągu niniejszego szkicu chcielibyśmy zwrócić uwagę, a który snuje się, jak czerwona nić od najpierwszych zaczątków literatury rusińskiej aż do dni dzisiejszych, jest pewien bijący w oczy brak jakichkolwiek, politycznych, społecznych, religijnych haseł, któreby, jeżeli już nie pewnym epokom, to przynajmniej pewnym grupom współczesnych umysłów nadawały właściwy charakter i barwę. Nie wynika z tego bynajmniej, jakoby w literaturze rusińskiej nie było faz i epok w ogóle. Chcemy tylko zaznaczyć, że od kiedy w łonie narodu rusińskiego nurtują myśli, ideje i prądy, nie krystalizują się one w grupach umysłów, ani w pokoleniach, lecz w pojedyńczych jednostkach, które nadzwyczaj trudno sprowadzić do jednego mianownika. Z tego też powodu i wszelkie podziały historji literatury rusińskiej opierają się raczej na faktach politycznych a nie wynikają z tego lub owego charakteru pewnego okresu piśmiennictwa.

Pierwsze pomniki ruchu piśmienniczego nad Dnieprem pochodzą z w. X. i XI., z czasów po przyjęciu chrześcjaństwa przez księcia Włodzimierza i całą ludność ziemi kijowskiej. Przyczyny jednak, które sprawiły, że od XII. do połowy XVIII. wieku Ukraina była jednem widowiskiem nieprzerwanych wojen, nietylko nie dały rozwinąć się w tym kraju silniejszemu organizmowi politycznemu, lecz także nie dały skrystalizować się w pewne samoistne, społeczno-narodowe formy — kulturze ukraińskiego narodu. Po napadach tatarskich w wieku XIII, Ruś połuduiowa (którą odtąd będziemy nazywali stale Ukrainą), słabnie pod względem politycznym widocznie i, powstałe na północ od niej księstwo suzdalskie jest w obec niej potęgą, pomimo, że Ukrainie zawdzięcza ono swą religję, kulturę i język. Nie mniejszym dowodem, że Ukraina chociaż politycznie słaba i po napadach tatarskich zachowuje znaczną energję narodową, jest jej stosunek do Litwy. Podbita, narzuca zdobywcy religję, język, zwyczaje i prawo. Dwór Jagiellonów staje się rusińskim. Za przykładem dworu królewskiego i cała oświeceńsza warstwa narodu litewskiego przyjmuje język i zwyczaje rusińskie, językiem rusińskim posługuje się litewskie prawo i administracja. Tymczasem zachodzi w życiu Ukrainy fakt, który znowu rozstrzyga o losach jej samoistnej kultury i nadaje tejże zupełnie inny kierunek. Z końcem w. XIV. dostaje się Ruś wraz z Litwą pod berło polskie i przez to zostaje wciągniętą w sferę cywilizacji zachodniej. Spotyka się teraz z cywilizacją, która pod bezpośrednim wpływem Europy zachodniej i w bez porównania korzystniejszych warunkach miała czas przyjąć zupełnie zdecydowane formy i charakter. Szlacha ruska uczy się łatwo języka łacińskiego, nabiera polskich zwyczajów, a wreszcie, przyjąwszy po większej części religję katolicką, ulega stosunkom politycznym i wynaradawia się prawie zupełnie. Resztę szlachty oczekuje taki sam los pod panowaniem rosyjskiem. Ukraina nie wytrzymuje więc konkurencji cywilizacji zachodniej i traci pod Polską szlachtę i rodzime formy samoistnego życia, to znaczy język i literaturę. To samo powtarza się później z Moskwą. Ruś daje Litwie, Polsce i Moskwie wielu wybitnych i znakomitych ludzi, sama jednak posiada inteligencję nieliczną, pozbawioną politycznego znaczenia. Byłoby bardzo wdzięcznem zadaniem dla historyka, oznaczyć udział Rusi w cywilizacji Litwy, Polski i Rosji i wyświetlić zarazem przyczyny, które jej duchowi nie dały skrystalizować się samoistnie.

Ugoda perejasławska (1654) zastaje na Ukrainie kulturę, oświatę i literaturę na stopniu, dość na owe czasy wysokim lecz tu powtarza się z Moskwą to samo, co z Polską. Naród uciskany wojnami kozackiemi i obroną przeciw Tatarom, nie ma czasu otrzęsnąć się z obojętności. Rząd rosyjski zaczyna już od tego czasu powolną rusyfikację i rozbitki, nie znachodząc spokoju w kraju, zaczynają growitować ku północy. Carowie nie szczędzą zabiegów, ażeby z jednej strony wszelki objaw życia umysłowego na Ukrainie niszczyć, zaś ludzi zdolniejszych przeciągać na swą stronę. Bez przesady można powiedzieć, że w końcu XVIII. i na początku XIX. wieku Rosję oświecali przeważnie Małorusini, że wspomnimy tu na-

zwiska: Rozumowskich, Zawadowskiego, Bezborodków, Troszczyńskiego, Kuczubeja, Sperańskiego i innych.

Krótko mówiąc, o ile w XVIII. w. oświata i literatura wzmagały się na północy, o tyle upadały na południu. Język małoruski i jego literatura zostały zarzucone, potępione. Oświeceni ludzie nie czuli potrzeby i nie widzieli żadnego praktycznego celu w używaniu swego języka; o oświecaniu ludu zapisanego w poddaństwo nikt wtedy nie myślał. W miarę jednak, jak nad Rusią zawisają coraz to więcej złowrogie chmury i zaciskają się nałożone przez rząd rosyjski kajdany, rozpoczyna się powoli na Ukrainie ruch, który w dalszym swym ciągu, w połowie XIX. wieku dochodzi do zenitu w Szewczeńce. Początek wieku XIX. jest to czas, w którym przez całą Słowiańszczyznę przeciąga jakiś wiosenny powiew odrodzenia. Niema wtedy narodu słowiańskiego, na którymby owo ożywcze tchnienie wolności mniejszego lub większego nie pozostawiło śladu. Dalekie echo francuzkiej rewolucji, romantyczny ruch w Niemczech i na całym zachodzie, przedostaje się na uśpione ziemie słowiańskie i zaczyna napawać umysły jakiemś ożywczem tchnieniem wolności i poezji. Pod wpływem tego tchnienia zaczynają gnębione dotąd i zmartwiałe ludy, zajmować się swą przeszłością i marzyć nieśmiało o przyszłości. Jakoż historja literatur słowiańskich świadczy, że w epoce owej powstają tak u północnych jak i południowych Słowian znakomite dzieła, które wywierają stanowczy a niesłychanie korzystny wpływ, na rozwój ich umysłowego życia. Ten to ruch udziela się już w samych zaczątkach XIX. w. zgnębionemu, wycieńczonemu narodowi rusińskiemu. Skryta przed czujnem okiem moskiewskiego rządu zaczyna się na Ukrainie jarzyć nowa siła odrodzenia. Kilku ludzi czerpie wprost z nieprzebranej skarbnicy ustnych podań i ludowego języka, który był jedynym skarbem, jaki naród przez długoletni okres niewoli zdołał uchronić od zagłady. I język ten staje się źródłem odrodzenia. Liczne dzieła pisane językiem ludu a owiane zgoła innym duchem niż ówczesna rosyjska literatura, krążą z rąk do rąk, w rękopisach. Wreszcie w roku 1798. Iwan Kotlarewski ogłasza swą parodję „Eneidy“ Wirgiljusza, w najczystszym ludowym języku i zakłada podwaliny pod nowy perjod literatury rusińskiej, zwany epoką odrodzenia. Jego dzieło staje się niesłychanie popularnem. W krótkim czasie zjawia się drugi i trzeci jego nakład a teraz liczy ono kilkadziesiąt wydań. Ludzie wyrywają go sobie z rąk do rąk, czytają, zachwycają się swojskim humorem, a jednocześnie, zaczynają, pod wpływem ciętej satyry budzić się z uśpienia. Oprócz Eneidy napisał Kotlarewski operetkę „Natałka Połtawka“, wodwil „Moskal czariwnyk“ i „odę“ do kniazia Kurakina. Wszystkie te utwory noszą na sobie wybitne piętno narodowości, demokracji i ogólno ludzkich ideałów. Język ich czysty. żywy, pełen polotu. Widać w nich głęboką znajomość życia ludu i porywa ich rodzimy ukraiński humor. Występuje wkrótce cała plejada utalentowanych poetów i powieściopisarzy jak: Hułak-Artemowski, Kwitka-Osnowianeńko, Hrebinka, Marko Wowczok, a wreszcie, najwybitniejszy talent poetycki rusiński — Szewczeńko.

A jednak, kiedy na Szewczenkę zaczynają zwracać się z podziwem oczy Słowiańszczyzny a pieśni jego wstrząsają potężnie całym rusińskim narodem, kiedy zaczyna się zdawać, że dla ludów słowiańskich wybiła godzina wolności, spada nowy szereg nieszczęść na Ukrainę. Rząd rosyjski wpada na trop tajnego stowarzyszenia jakie zawiązało się było w Kijowie w r. 1847. Należeli do niego prawie wszyscy ówcześni wybitni ukraińcy, a zadaniem jego było rozbudzenie idei demokratyczno-federacyjnej naprzód wśród narodu rusińskiego, a dalej i innych narodów słowiańskich, i połączenie wszystkich Słowian w jedno państwo, w któremby jednakowoż każdemu, chociażby najmniejszemu narodowi słowiańskiemu zapewniony był zupełnie samodzielny, niczem nie krępowany rozwój. Szewczeńko, Kostomarow, Kulisz, Koniski i wielu innych dostaje się do więzienia. Innych rząd rosyjski po krótkich śledztwach wypuszcza, Szewczeńko jednak dostaje się na dziesięć lat do twierdzy. Na każdego, kto waży się pisać, czytać a nawet rozmawiać po ukraińsku, spadają niesłychane prześladowania. Od tej chwili rząd bez miłosierdzia stara się niszczyć wszelki objaw myśli ukraińskiej. Wydaje cały szereg ukazów (1863, 65 – 76) zmierzających do ograniczenia prasy i wszelkich środków, które umożebniają krzewienie się ukraińskiej literatury. A kiedy pomimo tego cały zastęp ludzi nie porzuca pracy na ojczystem polu, wydaje w języku ukraińskim dzieła popularne i naukowe, nie mówiąc już o belletrystyce i przedstawieniach teatralnych, wydaje ministerstwo rosyjskie w roku 1876, d. 5. czerwca ukaz, który zamierza zgładzić ukraiński język z oblicza ziemi. Z wyjątkiem słowników, itd. pisanych urzędową rosyjską pisownią, żadna prawie ukraińska książka nie może w Rosji ujrzeć światła dziennego i, od tego czasu w rzeczywistości na Ukrainie nie wychodzi.

Tutaj trzeba zauważyć, że w miarę, jak na Ukrainie rząd rosyjski co raz to ciaśniejsze kółko rozwoju zakreśla literaturze rusińskiej, zaczyna ona powoli szukać sobie ujścia po części za granicą, jak w Pradze, Wiedniu, Genewie, po części w Galicji, dokąd też od roku 1876 przenosi na stałe swój punkt ciężkości.

Trzeba również wiedzieć, że w Galicji, od czasu przyłączenia jej do Austrji, aż do lat 60tych, panuje prawie zupełna martwota. Inteligencja, na którą składa się wyłącznie duchowieństwo, odcięte zarówno od Europy zachodniej jak od swych braci na Ukrainie, pogrąża się w apatji. Oświeceńsi przeżuwają iście średniowieczni scholastycyzm, nie znają ani własnego języka, ani ludu, ani historji. Ojczystym językiem gardzą i posługują się w stosunkach towarzyskich po części kiepską polszczyzną, po części jeszcze gorszą mieszaniną języka polskiego, cerkiewnego i ludowego. Opuszczony bez żadnej oświaty i wzgardzony lud upada moralnie i materjalnie. Z tego upadku nie może wyrwać Rusinów ani Szaszkiewicz, który z towarzyszami Wagilewiczem i Głowackim wydaje zbiór oryginalnych i przepisanych z ust ludu pieśni (1837), starając się zaszczepić u rodaków miłość do ojczystej historji, języka i poezji. Usiłowania tej garstki nie wydają na razie spodziewanych owoców i spotykają się raczej z potępieniem, tak ziomków jak i rządu. Jego „Rusałkę dniestrową“ cenzura konfiskuje pod pretekstem, że nie jest pisaną językiem ruskim, chociaż właśnie wszystkie pomieszczone w niej utwory odznaczają się najczystszym ludowym językiem. Tak samo bezskutecznie prawie przeszedł nad Rusią Galicyjską rok 1848. Entuzjazm narodowy, zawiązane pod jego wpływem towarzystwa, pozaczynane prace, skazane były w zarodzie na zgubę, gdyż z góry nie liczyły się z ludem, ani z jego językiem ani stopniem oświaty. Towarzystwa ówczesne stały się ogniskami zastoju i wstecznictwa, uczeni mólami książkowymi, bez znajomości najmniejszej świata wśród którego żyli. Mijał rok za rokiem wśród egipskich ciemności. Młodzież inteligentniejsza i zdolniejsza szarpała się nadarmo wśród niepewności i zwątpień, szukając wybawiciela...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jan Pietruszewicz.

ADAM KRAJEWSKI

AMOR VIXIT.

Nowela.

Ciąg dalszy.

Po owej pamiętnej nocy balowej, kiedy zrodziło się w duszy Niny pierwsze podejrzenie, że Albin, zanim ją poznał i pokochał, pałał uczuciem miłosnem dla innej kobiety, dusza młodej mężatki przechodziła niewysłowione katusze, potęgowane milczeniem męża, lub niejasnemi odpowiedziami, dawanemi przez niego, gdy go napierała natarczywiej. Kiedy jednak przeszły pierwsze uniesienia gniewu i zazdrości, musiała u Niny nastąpić reakcja, tembardziej, gdy widziała, że Albin unika nawet pozoru, ażeby jej dumy obrażonej nie drażnić. Gdy się tedy zwierzył jej z zamiarem pójścia na zebranie towarzyskie do kolegi, nie broniła mu tego, nie oponowała, była nawet rada poniekąd, że zostanie parę godzin z myślami sama; Albin bowiem, ostatnimi dniami po wiadomej scenie małżeńskiej, nie odstępował żony prawie na chwilę. Swoboda, choćby chwilowa, ma zawsze pewien urok, miała też i dla Niny, choć była kapryśnem i rozpieszczonem dzieckiem. Była tam w tem wszystkiem i pewna doza samolubstwa: jak dziecię pieściła się myślą, jak uda nadąsaną, gdy Albin wróci późną nocą do domu, jak mu będzie mogła lekkie czynić wymówki, a potem da się przeprosić, popieścić... a to tak przyjemnie, tak lubo...

Gdy się więc drzwi za Albinem zamknęły, siadła sobie przy oknie i poczęła rozmyślać. Naturalnie, że przedmiotem tych rozmyślań był Albin i odgadnięcie jego dawnej tajemnicy. Wśród tego ani się spotrzegła, jak zegar w saloniku wydzwonił dwunastą. Na ten dźwięk dreszcz ją lekko przeszedł; przypomniała sobie baśnie o duchach, które od piastunek słyszała i zarazem dziwno jej było, dlaczego Albin jeszcze nie wraca. Wszak to już godzin cztery upłynęło od czasu, gdy poszedł. W pojęciu Niny już ta pora była ogromnie spóźnioną.

Spodziewała się go lada chwila i układała w głowie gniewną minkę z którą go przywita.

Tymczasem i pierwsza minęła. Sen spędzony z powiek oczekiwaniem, nie kleił jej oczu. Gdy i drugą zegar uderzył, Nina poczęła być na serjo niespokojna; powstała z fotelu i poczęła się przechadzać tam i napowrót. W domu wszystko już spało snem błogosławionych, ona jedna tylko czuwała. Po chwili rzuciła się znowu na fotel i podparłszy głowę na rękach, ani wiedziała, jak potoczyła się z jej oczu jedna i druga łezka. Czuła się bardzo nieszczęśliwą, samotną i opuszczoną.

A więc znudziła się już mężowi, skoro do niej nie spieszył, choć pora tak późną była! — Może dobrze gdzie ta niegodziwa Malwina go zatrzymała? I znowu w duszy Niny podejrzenie z całą siłą się odezwało. Zkąd? dlaczego? — nie umiała sobie zdać sprawy, ale coś jej do ucha szeptało, że znowu ta kobieta stanęła na drodze między nią a jej małżonkiem.

Tak mijała godzina za godziną; Nina dobrze znała Albina pod tym względem, że nie był tak lekkomyślnym, ażeby trawić noce po za domem. Wiedziała w jakie poszedł towarzystwo i między jakimi ludźmi miał się znajdować.

Tymczasem do uszu jej dolatywał odgłos, jaki w wielkiem mieście nad ranem słyszeć się daje, gdy miasto wstaje ze snu. Choć to była zima, piąta rano rozbudza ludzi do pracy i na ten odgłos niepokój Niny przybierał czemraz bardziej.

Nie płakała już teraz, nawet gniew ją opuścił, a natomiast miejsce jego zajęła jakaś cicha rezygnacja. Czuła to, że spóźnienie a raczej nieprzyjście do domu Albina, musiało mieć jakieś poważne przyczyny, ale jakie?

Usiadła znowu, skryła twarz w dłoniach i milcząc rozmyślała, coby to było, gdyby istotnie Malwina była powodem, że Albin się nie zjawiał. Nie znała jego stosunku do niej, nie miała pojęcia o tem, jak daleko między nimi zaszło, domyślała się raczej a więcej przeczuła, że Albin nie był dla Malwiny zupełnie obojętnym, ale czy ona odpłacała mu kiedykolwiek równą miarą za uczucia gorące, jakie miał dla niej, tego nie odgadywała, odgadnąć nie mogła.

Z tem wszystkiem, ta jedna noc oczekiwania, choć podejrzenia niejasne w duszy Niny się rodziły, uczyniły z młodej kobiety inną istotę, niż była przed kilkunastoma godzinami. Gdy teraz nad ranem, kiedy organizm jej zmęczony, bardziej mózgiem niż nerwami pracował, uprzytomniła sobie dotychczasowe postępowanie z mężem, poczęła się przekonywać, że życie nie jest i nie może być tylko zabawą i pieszczotami, że gniew i kaprysy nie mogą i nie powinny być jedynemi podwalinami szczęścia małżeńskiego, że nauka form towarzyskich, wyniesiona z pensji, nie wystarczy, ażeby przykuć mężczyznę do siebie na całe życie, że nawet miłość niewinna, szczera, nie zastąpi tego, co się w świecie nazywa sztuką przypodobania. Niestety Nina sztuki tej nie znała; znała ją natomiast w całej pełni Malwina, ta niebezpieczna — Nina to przeczuwała — dla niej kobieta, która dawniej posiadała serce Albina.

Jeżeli ta kobieta dotąd tkwiła niezapomniana w sercu, a może tylko w myślach Albina, jeżeliby śmiałą dłonią zamyślała sięgnąć po jej własność, do takiej walki należało się Ninie uzbroić w pełny rysztunek, jakim może kobieta rozporządzać, ażeby wytrzymać mogła rywalizację z niebezpieczną czarodziejką.

Nina kochała Albina, kochała go całą potęgą duszy, kochała go tak, jak może kochać dziewica, której pierwociny uczuć zyskał mężczyzna. Miłość jej nie mogła tedy być na tak kruchej podstawie ugruntowaną, ażeby się zwalić mogła za pierwszym podmuchem niewiary. Owszem, miała i musiała się hartować jak stal w ogniu, musiała wywalczyć sobie pierwszeństwo w sercu ukochanego, jak anioł musi odnieść zwycięstwo nad szatanem, duch światła nad duchem ciemności.

Przechodziła w myśli swoje postępowanie dni ostatnich, ową podejrzliwość tak jawnie Albinowi okazywaną i zadrżała na myśl, że mogła była go tem zrazić do siebie. Przypomniała sobie, że czytała gdzieś kiedyś, iż zazdrość bywa grobem miłości i postanowiła sobie w duchu, poprawić się.

Gdyby tylko przyszedł! Dla młodej małżonki takie długie wyczekiwanie były męką niezwykłą. Sądziła już w chwilach zwątpienia, gdy godziny mijały, że więcej do niej nie powróci, że opuścił ją — i na płacz jej się zbierało.

Tak! — niepowie mu ani słowa, nie będzie mu czynić wymówek; będzie dlań taką, jaką była dawniej. I z tem postanowieniem, z tą rezygnacją, czekała na Albina.

Tak zastał ją, gdy przyszedł w rannej godzinie. Wiedziała od godziny, że przyszedł, ale chcąc wytrwać w postanowieniu, czekała aż sam przyjdzie i tem go pokonała.

Parę dni następnych przeszło im cicho i spokojnie, jak za dawnych czasów. Nic nie mąciło błogiego spokoju. Albin rad był w duszy, że jego chwilowe zapomnienie się, nie wywołało żadnych dalszych następstw i choć dziwna dlań była nagła odmiana Niny, było mu z tem tak dobrze, że ani nie próbował dociec, zkąd się to wzięło. Była dlań bardzo dobrą i to mu wystarczało. Po tem, co zaszło, nierad był nawet wspomnienia o tamtej, która mu tyle zmartwienia przysporzyła. Swoją drogą, gdy się sam znalazł, obraz Malwiny stawał mu przed oczyma i żal mu było tego, iż musiał się wyrzec na zawsze obcowania z nią, choćby przypadkowego. Zanadto na nim silne zrobiła wrażenie, ażeby miał o tem wszystkiem zupełnie zapomnieć... a tak mu dobrze było z Niną, która go tak kochała. I chciał tamtę bodaj kiedyś od czasu do czasu widzieć i wmawiał zarazem w siebie, że to niemożliwe.

Ach! gdyby to już jak najprędzej lato było, gdyby można było uciec na jakiś czas i zatrzeć to wspomnienie. Nieraz gdy siedzieli z Niną wieczorem ręka w rękę przy kominku, myśli te powracały mu, i wówczas uparcie wpatrywał się w jasne płomyki, które mu może przypominały ogniste oczy Malwiny I on dawniej tak wesoły, tak swobodny, spoważniał, zamyślał się często i dumał...

Wszystko to nie uszło uwagi Niny, która męża w takich chwilach obserwowała. I ona zmieniła się bardzo. Rzecz dziwna, ale to prawie dziecko, po przejściu dni niewielu i samotnie spędzonej w oczekiwaniu na męża nocy, przemieniło się w kobietę dojrzałą, która życie z jego innej strony pojmować zaczęła. Znikło jej samolubstwo, ale też zarazem zniknął ten czar upajający, który poza pieszczotami jej ukochanego nie dozwalał widzieć ciemnych stron życia i tych niebezpieczeństw, na które narażonym bywa młody i przystojny człowiek.

Nina mimo młodocianego wieku i wychowania pieszczonej jedynaczki, jaką była u rodziców, miała serce nie zepsute i dobre, zanadto może dobre, ażeby się dała zawsze powodować wrażeniami chwili. Miała także w sobie i dumę, ale nie tę dumę, która śmiertelnie obrażona, zrywa wszelkie węzły i depce wszystkie obowiązki, nie pomnąc, że sama sobie największą szkodę wyrządza, ale tę dumę szlachetną, która widzi zwycięstwo w okazaniu się wyższą ponad słabostki ludzkie i pewną jest zwycięstwa, zapomocą przebaczania uraz i taktu, posuniętego do najwyższych granic.

Choć może nie było jej już teraz tajnem, choć raczej przeczuła, niż wiedziała, choć domyślała się więcej uczuć jakie miotały sercem Albina, nie dała mu poznać niczego po sobie, jednem się słowem ani wyrazem nie zdradziła; tylko jakby mu chciała dać poznać, że wie o jego cierpieniach, w chwilach, gdy w oczach jego malowała się walka uczuć serca z obowiązkiem, tak jak owego poranku, z czułością głaskała go po twarzy i skroniach, kojąc w ten sposób jego smutek ukryty.

Wiedziała, że ją Albin kochał i że ostatecznie zwycięstwo po jej stronie zostanie — i czekała co będzie dalej. Kosztowało ją to wiele, bardzo wiele, i gdyby Albin był się jej baczniej przypatrywał, gdyby myśli jego mniej były rozerwane, byłby spostrzegł, że w niebieskich oczkach Niny przygasł dawny blask, byłby w jej oczach wyczytał całą głębię myśli, byłby spostrzegł, że liczko jej bledszym niż dawniej, niż niedawno jeszcze, rumieńcem ukraszone a usteczka nie z tym samym się do niego uśmiechały wdziękiem, co dawniej.

Na pozór jednak nic się nie zmieniło na zewnątrz.

Minął karnawał, a z nim i powód do możliwego spotkania się z Malwiną. Nie uszło to uwagi znajomych, że Albin i Nina tak mało udzielali się zabawom. Różnie sobie to tłumaczono; byli atoli i tacy, którzy się domyślali, a byli i tacy, którzy widzieli owej nocy Albina przy Malwinie i nieomieszkali ostrożnie i zagadkowo uwiadomić Ninę o tem co widzieli. Nina przyjęła to do wiadomości obojętnie na pozór, pragnąc wytrwać w swojem postanowieniu.

Tymczasem przeszedł i niepokój Albina, i fakt, że do tej pory nic się nie wykryło, począł powoli przywracać mu równowagę i pewność siebie. Cała ta przygodna miłostka z czarnooką czarodziejką, pozostał w duszy jego i w myśli przyjemnem wspomnieniem a gdy i w pożyciu z Niną nie natrafiał dalej na sceny tamtej podobne, uspokoił się zupełnie. Parę razy przypadkowo w tym czasie spotkał Malwinę na ulicy, ukłonił się i odszedł prędko, ażeby go nie kusiła.

W jednem z takich przypadkowych spotkań, gdy spojrzał na nią, zdawało mu się, że zobaczył w jej oczach niby wyrzut, niby ów uśmiech szyderski, który go zawsze tak gniewał, i który był również powodem, że wyzwał do walki całe towarzystwo. Było to właśnie w ulicy, gdzie Malwina mieszkała. Szła sama, bez towarzystwa ciotki. Gdy przechodząc rzuciła mu znane spojrzenie, nie mógł się oprzeć pokusie, ażeby się za nią nie obejrzeć. Stał na miejscu parę sekund i zobaczył ją wchodzącą do bramy domu gdzie mieszkała. Będąc już w progu, jakby wiedziała, że go obaczy, zwróciła główkę w jego stronę, przystanęła na chwilę i takie same rzuciła mu spojrzenie, pokręciwszy głową ze szczególnym wyrazem, który niby politowanie, niby współczucie miał oznaczać.

Krew nabiegła mu do głowy, jak wówczas na balu. Uczuł, że dawne uczucie wraca nieprzepartą falą, że się obudza w nim namiętność do tej kobiety, która chyba całe życie nie da mu już spokoju.

Pod wpływem tego, przeszedł na drugą stronę ulicy i szedł pod okna jej mieszkania, wpatrując się w nie, jakby chciał raz jeszcze ujrzeć to samo, co widział przed chwilą. Wyrzucał sam sobie, że jest szaleńcem niepoprawnym, ale mimo to przeszedł ulicę raz i drugi i za każdym razem patrzył w okna mieszkania czarodziejki.

Nie omylił się i nie zawiódł. Zobaczył ją w oknie i widział, jak mu się uśmiechała, tak samo, jak przy pożegnaniu wtedy, gdy ją z ciotką do powozu odprowadzał. Znikła za firanką, a on stał jeszcze jak odurzony, jak nieprzytomny i patrzał w okno. — puste, bo Malwina już się drugi raz nie ukazała.

Jakby go kto gonił, puścił się ku domowi, i tego dnia Nina musiała się uzbroić w jeszcze większą dozę zaparcia siebie samej, nie umiał bowiem mimo całego wysiłku woli ukryć wrażeń, jakie nim miotały.

(Ciąg dalszy nastąpi).

MARJUSZ ZARUSKI

„SONETY PÓŁNOCNE“.

I.
TUNDRA.

Martwa, głucha, bezbrzeżna, jak ducha tęsknica,
Dla którego zagasły promienie nadziei,
Rozpostarła się tundry olbrzymia ławica,
Zarośnięta kępami karłowatej kniei.

I nad całą płaszczyzną niebo blado-sine
Nakształt płachły grobowej zawisło posępne...
Ani słońce nie spojrzy na martwą równinę,
Ani zwierz nie zabiegnie w bagna niedostępne.

Czasem ptactwa przeleci trwożliwa gromada,
Uderzając skrzydłami donośle i żwawo,
Albo bańki powietrza wynurzą się z błota...

I znów cisza głęboka nad tundrą zapada:
Znów bezdusznie spoziera w toń nieba bladawą
Tundra wielka, posępna, jak moja tęsknota...

II.
ZORZA POLARNA.

Tam, na skraju dalekim gwiaździstych bezdroży,
Czy słońce się podnosi w niezwykłej godzinie?
Jakaś łuna ogromna lilijowej zorzy
Nakształt fali potwornej do góry wciąż płynie.

Już ćwierć nieba, ujęta w srebrzystej obręczy,
Bramowana po brzegach płomienną porpurą,
Zwolna lśnić się zaczyna przedziwną grą tęczy,
Po majowym deszczyku rozpiętej nad chmurą...

Nagle w górę buchnęła promienna kaskada
Złota, srebra, brylantów i lawy ognistej,
W jakąś cudną skłębiona wichurę tęczową...

Duch mój w niemym zachwycie w proch kornie upada
Przed wspaniałem znamieniem potęgi wieczystej:
O, cześć Ci, Stworzycielu... Tyś wielki, Jehowo!

III.
JAZDA.

Ponad śnieżnej pustyni bezmierną równiną
Smętne snują się snugi ostatnich promieni:
Gdzieniegdzie już zwichrzone tumanami cienie
Błysną jeszcze nad ziemią, konając — i giną.

Słońce w przepaść zapada. W tęczowej zamieci
Mkną narty*) samojedzkie przez obszar śniegowy:
Rącze biegną jelenie, pochyliwszy głowy —
Tylko para z nich bucha, śnieg z pod racic leci...

Mróz ciśnie. Z głuchym grzmotem pęka lód na rzece...
Samojed cichym świstem jelenie popędza...
Głębiej chowam się w futro, z przymarzłą powieką,

I do innych pól śnieżnych w dal myślą swą lecę,
A w ślad za mną pośpiesza tęsknota — zła jędza...
Ziemio moja rodzinna! o jakżeś daleko!...

IV.
SAMOJEDZI.

Dzieci chłodnej Północy, okryci skórami,
Długim sznurem przez tundrę ciągną Samojedzi.
W twarzach płaskich, okrągłych i koloru miedzi,
Z przeciętemi ukośnie czarnemi oczami —

Posępność się maluje ich szarej krainy;
Patrzą okiem bezbarwnem na śnieżne pustkowie,
Na nartach się rozsiadłszy, niby manekiny,
W ruchach swoich oszczędni, zarówno jak w mowie.

Renifery, schyliwszy łby czarne ku ziemi,
Lekkim krokiem stąpają przez zaspy śniegowe;
Pod saniami spowite kwilą małe dzieci;

Matki kiedy niekiedy schylą się nad niemi...
A wtedy w mroźnej ciszy brzmią dźwięki gardłowe,
I echo dzikiej piosnki ponad tundrą leci...

*) Narty — sanie samojedzkie.

V.

BIAŁE NOCE.

Białe noce polarne, przedziwne wy noce!
Jeszcze zorza wieczorna na północnej stronie,
Tysiącznemi barwami rumieniąc się, płonie,
A już obok dzień nowy swą tęczą migoce.

I rzuca iskier snopy na niebo bezsenne:
Dwaj bracia — dwa dni jasne — uściskiem się darzą,
I obaj jednocześnie, z uśmiechniętą twarzą,
Ku ziemi obracają swe oczy promienne.

Ziemia cicha, spowita we mgły i tumany,
W błogiej jakiejś pół-drzemce sny marzy nieśmiałe;
Gdzieś ptaszyna samotna w zaroślach szczebioce,

Bezgwiaździstym niebiosom śpiewając peany,
Złotym zorzom nad ziemią i wam noce białe,
Białe noce polarne, przedziwne wy noce!

VI.

M R Ó Z.

Groźny, straszny mieszkaniec polarnej krainy,
Skrzydłami wichrów swoich zmiatając z drzew puchy,
Z za morza arktycznego przyleciał mróz siny
I zakuł ziemię senną w lodowe łańcuchy.

Cisza... Szmer każdy słychać wyraźnie, daleko...
Jak młota uderzenia rozbrzmiewają słowa...
W dali grzmot jakiś głuchy zahuczał nad rzeką:
To paczy się i pęka skorupa lodowa.

Ptactwa nigdzie nie widać, zwierz śpieszy w ukrycia;
Myśliwy, zaskoczony z nienacka w tej porze,
Szuka schronienia w śniegu, lub w norze zwierzęcej.

Cisza, pustka wokoło — ani śladu życia...
Jak okiem tylko sięgnąć — lodowe bezdroże:
Rzekłbyś — ziemia ta martwa nie zbudzi się więcej...

ALEKSANDER KIELLAND

POD SZTANDAREM PRACY.

Powieść.

(Przekład z norweskiego).

Ciąg dalszy.

— Oh nie, przyjacielu, tego nie powinniście czynić — rzekł doktor — w istocie nie ma tu co widzieć.

Njaedel podszedł jednak do stołu; młodzi ludzie usunęli się na bok; profesor powstał, rozszerzając palce.

Prześcieradło leżało na niej, Njaedel zerwał je i zobaczył rzecz okropną. Całe ciało miało na sobie brzydkie, czerwone i żółto-zielone plamy, nos był zapadły, silne włosy, spoczywały w nieładzie nad czołem.

— To nie ona — szepnął naczelnik i uchwycił Njaedela za ramię.

Ten jednak poszedł, odgarnął jej włosy z czoła i położył palec na wielkiej bliźnie, którą miała na skroni.

— Chodź, pójdziemy Njaedel.

Naczelnik zbladł jak ściana. Njaedel obejrzał się, a ponieważ miał wrażenie, iż wszyscy ci eleganccy ludzie mieli współczucie dla jego córki, przeto zaczął każdemu z nich podawać rękę.

Gdy jednak doszedł do profesora, ten cofnął się o krok:

— Nie, mój dobry człowieku, nie mogę wam podać ręki.

Teraz dopiero spostrzegł Njaedel biały nóż i rozszerzone palce. Strach go zdjął i zgroza, i wyszedł razem z naczelnikiem.

Gdy stanęli znowu na ulicy, badał naczelnik uważnie twarz Njaedela, zauważył bowiem, że szedł z zagryzionemi wargami i zaciśniętemi pięściami.

— Za to, zda mi Anders rachunek — mruczał Njaedel.

— Daj pokój — wtrącił naczelnik lękliwie — niech Anders zostanie tem, czem jest. Teraz przecież opuszczamy wszystko. Zobaczmy raczej, czy nie dostaniemy czego do zjedzenia, jestem głodny jak wilk.

Njaedel był jednak nieubłagany; a ponieważ naczelnik nie chciał mu pomódz w odszukaniu domu ministra, zapytał Njaedel sam o to pierwszego konstabla, którego spotkali. Poszli.

W ogromnej głowie Njaedela odbywała się gwałtowna walka. Zaczęło w nim kiełkować podejrzenie, że to całe nieszczęście spowodował jego brat. Nie wybuchał jednak jeszcze; była to tylko głęboka boleść i pragnienie ujrzenia go, słyszenia jego obrony. Może było coś jeszcze, co go mogło uniewinnić.

Gdy zeszli tych parę schodów na dół, rzekł naczelnik:

— Musisz mi jedno przyrzec, Njaedel, że nie podniesiesz na niego ręki... Pomyśl o tem, że pomimo wszystko, jest to przecież twój brat.

— Możesz być o to spokojny... — odparł Njaedel.

Anders golił się właśnie; powiesił lustro na ramie od okna, tak że pełne światło dzienne padało na jego twarz. Oskrobał się właśnie po jednej stronie, a na drugiej było jeszcze pełno mydła.

Gdy ujrzał i poznał wchodzących, odłożył brzytwę i jakieś drganie przebiegło po jego twarzy; potem osiadł na niej

znowu ten dawniejszy, na pół idjotyczny uśmiech i Anders wyciągnął do brata rękę.

— No, nareszcie jesteś Njaedel! To bardzo ładnie z twej strony, że przyszedłeś.

— Anders, Anders! — ryknął Njaedel i wyciągnął do niego groźnie zaciśnięte pięści — coś uczynił z Krystyną?

Zdawało się, że Anders obudził się pod wpływem tego potężnego głosu. Zgiął się w kabłąk i cofnął do najodleglejszego kąta izby. Twarz jego stała się prawie popielatą, gdy patrzył na te potężne pięście.

Powoli jednak jego napół wyschły mózg zaczął się przygotowywać do ostatniego wysiłku. Długie zmarszczki fałszywego śmiechu wystąpiły mu znowu dokoła ust, podczas gdy piskliwym tonem zaczął:

— Że też nie masz serca dla brata, Njaedel, dla tego brata, który zawsze był tak chory i tak słaby... Pamiętasz, jak byliśmy jeszcze mali i jak dla matki po rowach zbieraliśmy ziele...

Njaedel opuścił ramiona. Dziwne wspomnienia zaczęły powstawać na dźwięk tego słabego, błagalnego głosu brata, którego tak bardzo kochał.

— A pamiętasz, co zawsze mówiła matka? — ciągnął Anders dalej, podczas gdy przez cały czas patrzył bystro w twarz brata — matka mówiła zawsze: ty, Njaedel, jesteś sztokfisz, ale Anders taki delikatny jak łasiczka!...

Njaedel skinął głową. Tak było.

Zadumał się głęboko, wspomnienia zaczęły mu się cisnąć do głowy, a po chwili nie było w nim już iskry gniewu, gdy się odwrócił i rzekł:

— Anders, Anders, nie powinieneś był tego uczynić.

Na górze, w sieni, rzekł naczelnik:

— Dobrze, że go nie uderzyłeś. Mogłeś go był złamać jak sucharek.

Teraz jednak Njaedel stracił moc panowania nad sobą; oparł się o mur i zapłakał głośno.

Naczelnik pozwolił mu tak długo płakać, jak to uważał za potrzebne. Następnie uprowadził go — Njaedel był posłuszny jak dziecko — i wynalazł restaurację w piwnicy. Poszli tam.

Naczelnik, który był w Kopenhadze i w Petersburgu, zażądał natychmiast dwóch bifsztyków i butelki piwa. Gdy jednak siedli przy stole, zadrżał dom wskutek strzału armatniego.

— Król przybywa! — rzekła dziewczyna, usługująca im; była zagniewana, że musiała pozostać w piwnicy i usługiwać tym dwóm chłopom, zamiast pójść i patrzyć na wspaniały wjazd...

XX.

Ludzie zbiegali się ze wszystkich stron na ulicę Karola Jana, która w wolnych miejscach i na trotoarach zapełniona była szczelnie.

W oknach były panie w nowych ubiorach wiosennych, za niemi stali panowie. Przed dworcem kolei „żółty korpus“ pełnił służbę honorową. Falck-Olsen siedział sztywny na bu łance i spoglądał na tłumy.

Pociąg królewski przyszedł; czekano tylko, prędko na dworcu skończy się uroczyste powitanie. Gdy zatem dał się słyszeć okrzyk: „Niech żyje król! Hurra!“ zaczęło się w tłumie poruszać, podczas gdy dostojni goście zaczęli wsiadać do powozów.

„Żółty korpus“ popędził naprzód, dalej szereg powozów królewskich przez plac i następnie przez wązki pasaż przy pałacu Dybwad. Tu i tam jakiś dobry obywatel krzyczał „hurra!“ ale ta nadto wielka gorliwość jednostek zdawała się powstrzymywać tłumy i okrzyki padały jak martwe.

Dopiero na skwerze przy storthingu okrzyki stały się ogólniejsze.

Gdy pochód przebiegł przez ulicę Karola Jana, zaroiło się na niej od ludzi, którzy zwrócili swe twarze ku zamkowi, gdzie jeźdzcy i powozy utworzyli świetnego węża, podczas gdy kurz z pod powozów królewskich wydobywał się jak złota mgła i kładł się jak błogosławieństwo nad ludem.

Zaczęto mówić o iluminacji wieczorem i o podobnych rzeczach. Królowi w ciągu zimy zrobił się wrzód na szyi, który szczęśliwie przecięto, dlatego też studenci urządzili pochód z pochodniami, śpiewając:

„Usłysz Svevo, nasza matko!“

Z tej samej przyczyny odbywała się też uroczystość dziękczynna z deklamacją i fajerwerkiem.

Wieczorem tłumy były na nogach, zwłaszcza w okolicy Tivoli i lasku studenckiego.

Ministrowie i urzędnicy dworscy, oficerowie i inni umundurowani dążyli ku zamkowi, gdzie wszystkie okna były oświetlone, podczas gdy sztandar królewski odrzynał się od jasno-zielonego wieczornego nieba.

Na okręcie emigracyjnym pracowano i krzyczano; całość wyglądała tak dziko, że kilku wychodźców z gór siadło na swoich skrzyniach i zaczęło płakać.

Gdy Njaedel i naczelnik zeszli do mostu, spotkali swego przyjaciela, ajenta; zawołał tylko *all right* i przebiegł obok nich; kąpał się w pocie i był tak ochrypły, że zaledwie słychać go było.

Kilku tragarzy stało przy pomoście, a gdy Njaedel za naczelnikiem chciał przejść przez pomost, rzekł jeden do drugiego:

— To hańba przecież, że Amerykanie zabierają nam z kraju takich olbrzymów.

Njaedel usłyszał to i podał mu rękę.

Tragarz obawiał się zdrady i spojrzał na tę ogromną łapę trochę nieufnie. Gdy jednak zobaczył jasne oczy Njaedela, podał mu rękę i rzekł napół zawstydzony:

— Tak, tak, musisz najlepiej wiedzieć, co czynisz. No, bądź zdrów i szczęśliwej podróży, stary!

Na pokładzie hałas i zamięszanie były jeszcze większe. Naczelnik usiadł z filozoficznym spokojem na skrzyni przed kajutą.

Njaedel jednak nie mógł się przezwyciężyć, aby patrzyć na to wszystko. Chodził po pokładzie i dotykał się tego lub owego przedmiotu. A gdy majtkowie spoglądali na niego zdziwieni, kiwał tylko głową z uśmiechem. Nareszcie zajął miejsce przy schodach, a gdy przychodziło coś ciężkiego, wołali ludzie:

— Niech tylko ten olbrzym to chwyci!

Schlebiało to Njaedelowi i pozwalało mu zapomnieć o ponurych myślach. Czuł potrzebę zajęcia się znowu ciężką pracą.

Wieczorem jednak, gdy hałas ucichł, a ludzie wzajemnie się żegnali, stał się tak miękkim jak masło, zdaniem naczelnika. Nie miał ani jednej duszy, z którąby się mógł pożegnać i dlatego sądził, że musi każdemu podać rękę, kto tylko idzie na ląd.

Naczelnik zauważył wkrótce, że on i Njaedel należą do najuboższych pasażerów. Większość innych wychodźców byli to zamożni właściciele dworków, którzy przez lata pracowali w tym celu jedynie, aby się udać do Ameryki, gdy zarobią dość pieniędzy. Inni otrzymali pieniądze na podróż od krewnych z za morza.

O godzinie jedenastej przyszedł doktor Bennechen z siostrą na pokład. Przyszli sami; minister był na zamku, Alfred wymówił się, a pani Bennechen leżała w łóżku. Gdy w końcu spostrzegła, że podróż była wzięta na serjo. poczuła coś podobnego do skruchy. Ściskała Hildę długo i szeptała nawet coś, że Hilda ma jej przebaczyć, jeżeli kiedy ona, matka, była dla niej trochę dziwną.

Oboje „nieudali" opuścili dom ze szczerym smutkiem, a Hilda dostała takiego bólu głowy, że w kajucie damskiej, którą miała sama dla siebie, położyła się zaraz do łóżka. Hałas w salonie ustawał powoli, ponieważ towarzystwo zaczęło odczuwać potrzebę snu. Doktor wyszedł na pokład i zaczął się przechadzać.

Noc była cicha i jasna, od czasu do czasu tylko wiatr przynosił huk armatni lub dźwięki fanfary.

Jan Bennechen chodził długo po pokładzie i patrzył na miasto, które znał tak dobrze, w którem spędził swoje życie. Mała przestrzeń między okrętem a bulwarem wydawała mu się głęboką przepaścią, po za którą pozostawił wszystkie swoje cierpienia, wszystkie rozczarowania.

Spojrzał wreszcie na zegarek; było w pół do pierwszej; zaczęło się zanosić na deszcz. Nagle usłyszał turkot powozu na moście. Przejechał obok latarni i zatrzymał się tuż przy parowcu. Jakiś pan w szerokim płaszczu i w pirogu wysiadł i rzekł coś do stangreta. W chwilę potem usłyszał doktor znajomy głos, pytający się o niego.

— Tutaj! Kto chce mówić ze mną? — zawołał Jan z pokładu.

Przybysz wszedł po drabinie i doktor poznał Delphina.

— Dobry wieczór, doktorze, sądzisz pan zapewne, że jestem pijany? Jestem nim zresztą. Wpadłem w niełaskę i starałem się zagłuszyć zmartwienie. Siostra pańska na pokładzie?

— Tak, śpi już, jak mi się zdaje.

— Chodźmy tutaj — rzekł szambelan, otwierając drzwi do salonu dla palących — widzisz pan, tu możemy się pożegnać. Nie jesteś pan zapewne śpiącym doktorze?

— Nie, wcale nie — odparł Jan i podkręcił lampę — zapalisz pan cygaro?

— Dziękuję, chciałbym się czegoś napić.

Szambelan zrzucił płaszcz i w swym złotem tkanym uniformie z orderami i przy szpadzie rzucił się na sofę. Jan poszedł przynieść coś do picia; jedno tylko, co mógł znaleść, było whisky z wodą. Szambelan zapewniał, że to jego ulubiony trunek; tak się też wydawało. Wypiwszy jedną szklankę, zapytał:

— Pańska siostra przybyła zatem na pokład?

— Tak, spodziewam się, że śpi już oddawna — rzekł Jan, trochę zdziwiony.

— Że też pan, doktorze, możesz opuszczać miasto w tak zajmujących czasach. Posłuchaj pan tylko co się w tych błogosławionych godzinach wieczornych stało! Po pierwsze: szambelan Jerzy Delphin popadł w niełaskę, dalej Falck-Olsen dostał order za klacz bułaną; dalej referendarze Hierth i Bennechen mianowani podkomorzymi, pierwszy jednocześnie się zaręczył...

— Nie, nie, to za prędko. Kto się zaręczył?

— Hierth — ponieważ ojciec ministrem został, przetu go wzięła, rozumiesz pan? Mam tu na myśli bułankę Falck-Olsena, Zofja jej na imię, zdaje mi się. Ta druga, łysawa, odręczyła się...

— Nie szambelanie — zawołał Jan — zaczyna mi się kręcić w głowie!...

(Dokończenie nastąpi).

Wiadomości artystyczne i literackie.

Powieści historyczne T. J. Choińskiego znalazły w Niemczech duże powodzenie. Pierwsza powieść historyczna Choińskiego „Gasnące słońce", drukowana już w dwóch czasopismach „Vaterlandzie" wiedeńskim i w „Blätter für Stadt und Land", wychodzi obecnie od końca marca w Kolonji, w „Kölnisches Volksblatt". Równocześnie wychodzi ta powieść w przekładzie rosyjskim w moskiewskim „Russkim listku" i po węgiersku w Peszcie w tłómaczeniu biskupa weszpryńskiego.

„Jojne Firułkes", najnowszy utwór sceniczny G. Zapolskiej, jak wiadomo, stanowiący dalszy ciąg „Małki", ukaże się wkrótce w Warszawie na scenie ogródkowej p. Dobrzańskiego. Cenzura czyniła pierwotnie poważne przeszkody, ze względu na rzekomo socjalistyczny podkład sztuki — obecnie jednak zezwoliła na poczynienie kilku zmian i ponowne przedłożenie do zaopinjowania w komitecie cenzuralnym.

Malarz angielski Edwin Abbey został członkiem londyńskiej akademji sztuk pięknych.

Inspektorem artystycznym sceny warszawskiej zamianowany został Wincenty Rapacki. Niezależnie od inspektora, sprawować będzie funkcje reżysera p. Ładnowski.

Teatr Wodewilu w Warszawie wystawi w tych dniach sztukę, odznaczoną na konkursie Piotrowskiego pt.: „Na wsi".

W Pilznie czeskiem pracuje obecnie dr. Hora nad słownikiem polsko-czeskim, który zawierać będzie około 54.000 wyrazów i do 10.000 zwrotów językowych.

Na posiedzeniu komisji sztuki, istniejącej przy Akademji umiejętności w Krakowie zdał p. Leonard Lepszy sprawę z podróży swej, odbytej po Niemczech i Włoszech w celu poszukiwań za pracami Jakóba del Caroglio, a prof. Marjan Sokołowski streścił rezultaty swych badań nad stosunkiem rzeźby czeskiej do polskiej w w. XIV.

„Dalibor" Smetany, przedstawiony w Warszawie przez trupę operową lwowską, doznał wielkiego powodzenia. P. Florjański (jako Dalibor) i pani Kasprowicz (jako Milada), zbierali huczne i zasłużone oklaski.